

Macierzyństwo – stan cywilny

z Małgorzatą Łukowiak
rozmawiają Justyna Zimna i Michał Larek

fot. archiwum prywatne



[...] antymacierzyństwo jako recepta na matkę Polkę do mnie nie przemawia. Dla mnie macierzyństwo jest przede wszystkim intymną relacją między kobietą a jej dzieckiem i społecznie nikomu nic do tego.

Michał Larek: Skąd wziął się pomysł na macierzyński blog? Bardzo trudno jest teraz odpowiedzieć na to pytanie.

M.L.: Dlaczego? Blog ma już dziewięć lat. Nie jestem tą samą osobą, którą byłam, kiedy zaczynałam go pisać.

M.L.: Dlatego pytam. Już nie pamiętam. Przed rozmową z wami odświeżyłam sobie pamiętny wywiad¹ Agnieszki Jucewicz z Rachel Cusk, ten o macierzyńskim umieraniu, który spowodował lawinę komentarzy. Cusk mówi tam, że nigdy nie chciała być matką. Ja też nie. Ale któregoś dnia coś się zmieniło i nagle i niespodzianie zachciałam mieć dziecko. To był rok 2002 i jakoś w tym samym czasie zaczynały być popularne blogi. Cusk w wywiadzie z Jucewicz podkreśla, że współczesną platformą komunikacji matek jest Internet. Jeżeli chodzi o mnie, to ekspansja blogów i plany macierzyńskie zbiegły się przypadkiem. Przeczytałam gdzieś o blogach, stwierdziłam, że to niezła możliwość ekspresji, więc założyłam własny.

M.L.: W wywiadzie udzielonym „Gazecie Wyborczej” powiedziałaś, że w zamierzeniu miał to być blog pisany na chłodno.

Na chłodno, tak. To był czas, kiedy o macierzyństwie mówiło się słodko, w samych pastelowych barwach. Te wszystkie infantylne skojarzenia, mamusie, brzuszcie, dzidziusie. Trusie.

M.L.: Rozumiem, że to był ważny kontekst? Bardzo ważny. W tamtym czasie macierzyńskie fora ćwierkały o fasolkach rosnących w mamusiowych brzuszkiach i rozkosznie upačkanych dzieciaczkach, dopiero niedawno pojawiły się matki wyrodne, które bez wyrzutów sumienia kurzą fajkę, pozwalając dzieciom bawić się gdzieś w kącie. Teraz są dwa różne głosy, wtedy, w 2002 dominowało macierzyńskie przesładanie.

M.L.: Chciałaś się ustawić w kontrze? Nie sądzę, żebym świadomie ustawiała się w kontrze. Blog był skrajnie osobistą ekspresją tego, co czułam w kontekście własnego potencjalnego, a później rzeczywistego macierzyństwa.

Justyna Zimna: Czy decyzja o podjęciu się roli matki była tak radykalna, że trzeba to było opisać?

Tak. Ale nie pytajcie, dlaczego akurat w Internecie. Powtórzę, to był inny moment. Teraz mamy ekspansywne portale społecznościowe, zakupy w Internecie, wirtualne konta bankowe i tak dalej, Internet jest immanentną częścią naszego życia. Dziewięć lat temu tak nie było. Inne łącza, gorsze przecież... Pamiętacie? Łączylismy się przez komórkę, która musiała równo leżeć na stole. Pisząc w Internecie, byłam anonimowa przez dłuższy czas.

J.Z.: Czułaś się tam ukryta? Na pewno miałam większą przestrzeń wolności niż teraz.

¹ **Nie jestem z Waszego plemienia, Z Rachel Cusk, pisarką, rozmawia Agnieszka Jucewicz, „Wysokie Obcasy” 45/2010.**

J.Z.: Od początku wiedziałaś, że zaczynasz pisać w sposób, który może się nie podobać? O tym nie myślę. Chociaż jakiś czas temu zmieniłam sposób pisania, bo nie czuję się komfortowo, pokazując się cała ludziom. Nie mam natury ekshibicjonistki, która uważa, że wszystko jest na sprzedaż. Przeżycia macierzyńskie są intymne i mój blog na początku był intymny. Teraz to się zmienia. Dochodzi też kwestia prywatności moich dzieci, one już nie są anonimowe, nie są „modelowym dzieckiem w wieku pięciu lat z jego zestandaryzowanymi problemami”, są konkretnymi, rozpoznawalnymi osobami.

M.L.: Ta zmiana jest wyrazista. Myśmy z Justyną przed Twoim przyjściem analizowali sobie Twój blog. I mnie się wydaje, że on jest teraz bardziej literacki, że w tej chwili stanowi pretekst do tego, żeby pisać po prostu. Rodzi się w Tobie pisarka? To za duże słowo.

J.Z.: Raczej bardzo zwyczajne, codzienne. Jasne, lubię władzę nad słowem. Zapisywanie scen. Obnażanie siebie już mnie nie interesuje.

J.Z.: Byłabyś skłonna pójść w fikcję literacką? Ja cały czas coś piszę.

M.L.: To jest podobne do bloga? Nie.

M.L.: Hm. Na blogu ewidentnie walczysz o to, żeby obraz macierzyństwa był pogodny, przyjemny, harmonijny. Nie ma tam zadziorności, zaczepności. Potrzeby powiedzenia czegoś przykrego. To zupełnie inna wizja niż ta, którą znamy z prozy Cusk, pisarki epatującej rezygnacją, melancholią, bólem. To jest chyba też kwestia osobowości. Mówiąć między nami, proza Cusk do mnie nie przemawia. To nie jest ta gęstość tekstu, przez którą przebijam się z radością, ale to, o czym mówisz, jest głównie kwestią postrzegania świata, prawda?

M.L.: No tak. Chodzi chyba o to, czy widzimy tylko ciemność, czy raczej o taką percepcję rzeczywistości, że owszem, wiemy, że kolej rzeczy jest generalnie przykra, ale przecież żyjemy i chcemy dalej żyć. Co więcej, chcemy, żeby było pięknie. Mój blog jest pozytywny, bo ma być pamiątką dla moich dzieci, i tego się trzymam. Ich dzieciństwo jest na razie po prostu radosne. Ale moje bycie matką jest tylko częścią mnie. Jestem też poza macierzyństwem.

J.Z.: Więc blog tym bardziej nie wystarczy. Opinii, obserwacji, wiedzy – masz dużo więcej. Myślę, że to, co piszę poza blogiem, nie byłoby do przyjęcia dla dużej części moich czytelników.

M.L.: A co tam jest takiego? Nie mówmy o tym.

M.L.: No dobrze, ale podeślij nam po spotkaniu swoje kawałki. Może wrócimy do tematu. Dobrze.

M.L.: Cusk twierdzi, że macierzyństwo zabija kobietę. Zgadzasz się z taką diagnozą? To są mocne słowa. Pisałam o tym swego czasu i to wywołało sporą dyskusję na moim blogu. Wiele dziewczyn napisało wtedy w komentarzach pod notką, że one też umarły. Niektóre natomiast twierdziły, że wszystko jest po staremu. Jeśli zatrzymamy się na samych słowach Cusk, możemy odczuć niechęć. Boimy się śmierci. Ale ja głęboko czuję to, że macierzyństwo jest w pewien sposób śmiercią. Wiem, że stając się matką, w jakiejś części umarłam.

J.Z.: Co się kończy? Kończy się „ja” sprzed bycia matką. Wiecie, przeszło mi przez myśl, że macierzyństwo jest jak stan cywilny, który się pojawia, trwa i już

nigdy się nie zmieni. Wchodzimy w coś, czego nie znamy. Kończy się wszystko i wszystko się zaczyna od nowa. Jest w tym jakiś rytuał przejścia. Staję się matką i przestaję być panią swojego życia, własnego czasu. Dziecko budzi się parę razy w nocy, nie można odejść od niego dalej niż na kilka kroków. Potem rzeczywistość wraca do normy, ale pierwszy szok uderzeniowy jest mocny.

J.Z.: Byłaś do tego przygotowana?

Do tego nie można być przygotowaną. Dlatego też nie można tego wiarygodnie opowiedzieć. To bardzo indywidualne doświadczenie. Są oczywiście pewne główne linie. Fizjologia na przykład jest podobna. Ale każdy z nas ma inną percepcję rzeczywistości.

J.Z.: O czym piszą dziewczyny, które też umarły?

Emocje w macierzyństwie są bardzo silne od samego początku. To hormony, nie mamy nad nimi władzy. Odzywa się zwierzęca strona człowieka. Tu się intelekt zająbia z fizjologią.

M.L.: W dyskusjach nad macierzyństwem pojawiło się pojęcie „antymacierzyństwa”. Nie wiem, co to znaczy.

M.L.: To zadziorne wskazanie, że część społeczności matek chce przeżyć macierzyństwo na swój własny sposób, próbując nie ulegać sile tradycji, pewnie patriarchalnej, czasami bardzo opresyjnej.

Nie, nie podoba mi się to pojęcie, to „anty”. Nie przemawia do mnie chęć zanegowania wszystkiego, co jest związane z macierzyństwem, ani pragnienie, żeby wszystko zburzyć i budować wszystko od początku. Może to jest kwestia wieku, doświadczenia, ale nie uważam, że wszystko trzeba wypalić do gołej ziemi, bo jest złe. Może wystarczy...

J.Z.: ...renegocjować?

Właśnie, renegocjować. Dlaczego od razu być antymatką? Niech to będzie po prostu macierzyństwo, ale na miarę naszych czasów, które oczywiście są trudne, jak pewnie każde. I to zarówno dla kobiet, jak i mężczyzn. Zmieniają się relacje i role społeczne. Szybko się zmienia kontekst kulturowy i uwarunkowania. Nie mamy punktu odniesienia, czegoś w stylu „jak to było w dawnych czasach”. Dlatego z pewnością w postrzeganiu macierzyństwa trzeba coś podregulować. No i na własną rękę szukać harmonii ze światem.

J.Z.: Ale jeśli rozumieć „antymacierzyństwo” jako renegocjację?

Teraz będziemy rozmawiać o matce Polce? To nie wyjdziemy stąd tak szybko [śmiech].

M.L.: A ja broniłbym tego pojęcia. Są takie momenty w historii, kiedy trzeba powiedzieć coś mocniej, agresywniej, prościej. Takie redukcje dyskursywne przecież odsłaniają ważne przestrzenie społeczne, miejsca frustracji, gniewu, przemocy.

Mówię, że antymacierzyństwo jako recepta na matkę Polkę do mnie nie przemawia. Dla mnie macierzyństwo jest przede wszystkim intymną relacją między kobietą a jej dzieckiem i społecznie nikomu nic do tego. Rozumiesz, chodzi mi o macierzyństwo pojmowane jako postrzeganie siebie jako matki, o zadawanie sobie pytań o to, jakie miejsce w moim życiu zajmuje bycie matką, czy macierzyństwo to jest 100 procent mnie, czy mam przestrzeń na cokolwiek więcej. Uważasz, że o tym trzeba mówić głośno, wyraźnie, żeby wyrazić swoją frustrację? No, nie jestem przekonana. To byłoby coś w stylu „droga redakcyjno, jak żyć?”. Na takie pytanie, na kwestię, jak sobie umiejscowić macierzyństwo we własnym świecie, nikt nie udzieli jedynie prawdziwej odpowiedzi, bo każdy musi szukać własnej. Za to w kontekście społecznym tak, owszem, ale i tu wołałabym rozmawiać raczej o przededefiniowaniu rodzicielstwa, +

kwestia dotyczy także przecież ojców. Bo i owszem, stanowczo uważam, że postrzeganie rodzicielstwa wymaga przededefiniowania na miarę zmieniającego się świata. I to chyba byłaby perspektywa odpowiednia do rozmowy o aspiracjach kobiet, szerszych niż wychowanie, gotowanie i pranie, o koniecznej pomocy państwa, o tym, że życie rodzinne jest równie ważne jak życie zawodowe. Ale to się wydaje dość dalekie od antychrysta-antymacierzyństwa, nie uważacie?

J.Z.: Na pewno jest tak, że żyjemy w takim miejscu i czasie, w którym najpierw poznajemy pojęcie macierzyństwa i dopiero potem część z nas ewentualnie staje się matkami.

No właśnie, mamy wybór. Nie ośmielam się formułować daleko idących konkluzji społecznych, ale jednak teraz możemy zdecydować, czy chcemy być matką, czy nie. W dobie nierozwiniętej antykoncepcji nikt nie miał takiego wyboru. Bycie matką nie było kwestią wyboru, tylko naturalną konsekwencją bycia kobietą.

M.L.: Ale czy macierzyństwo nie jest też przedsięwzięciem kulturowym? Czy bycie matką nie jest też programowane przed rozmaite media dystrubuujące obrazy, teksty, muzykę? Czy na przykład reklama nie formatuje niekiedy przyszłych matek?

Patrz na swoje doświadczenie. Od zawsze byłam przekonana, że nie będę matką. Czas takiego myślenia jest dłuższy od czasu, w którym jestem matką. Byłam przekonana, że moje życie to praca, realizacja siebie, podróże, poznawanie świata. I nagle zachciałam mieć dziecko. Nie dlatego, że się zafascynowałam reklamą margaryny, na której idealna rodzina biegnie w stronę tęczy przez ukwieconą łąkę. Zadziały mechanizmy, o których nie mam pojęcia. Nie wiem, czy włączył się zegar biologiczny, ale nagle stwierdziłam, że to jest ten moment i już, po prostu. Nie wiem, dlaczego inne kobiety zostają matkami, myślę tu o świadomych

wyborach, ale na pewno nie z powodu reklamy. Nie szukałabym łatwych wytłumaczeń.

J.Z.: Ale jeśli nie szukamy łatwych wytłumaczeń, to musimy powiedzieć, że nie wszystkie kobiety świadomie decydują się na macierzyństwo. Na pewno nie. Ile ludzi, tyle sytuacji.

M.L.: Mnie jednak o co innego chodziło. Nie o przyczyny, ale o to, w jaki sposób kobiety funkcjonują jako matki. Myślę tu przede wszystkim o kobietach, które nie są osobami autorefleksyjnymi, mówiąc delikatnie. One chyba jednak, będąc matkami, pozostają pod niebezpiecznie silnym wpływem popkultury. Podczytuję sobie ostatnio bloga trzydziestoparoletniej poznaniarki, samotnej matki, po studiach polonistycznych. Dziwna sprawa, kobieta marzy o jednym: zamienić swoje życie w reklamę. Obserwujesz inne matki?

Ja cały czas się im przyglądam, to naprawdę ciekawe. Pomówmy o samoświadomości. Początkiem jest moment porodu. Jako stała bywalczyni porodówki przy ulicy Polnej dużo widziałam [śmiech]. Wiele dziewczyn przyjeżdża tam z pretensją. Zróbcie coś z tym. Zajmijcie się tym. Wyjmijcie to. Nie chcę, żeby mnie bolało. Ma być jak najszybciej. Tu się, moim zdaniem, ujawnia po raz pierwszy brak samoświadomości, brak świadomości siebie i swojego ciała. Kiedy, rodząc dziecko, mówię „zróbcie coś z tym”, to ustawiam się w opozycji do siebie, o, coś mi tutaj wyrosło, jakiś brzuch, więc teraz zajmijcie się tym, lekarze, położne i pielęgniarki. To przekłada się na wiele późniejszych sytuacji.

M.L.: Jakich?

Urodzenie dziecka i ten pierwszy czas, kiedy na matkę działają hormony, to przecież tylko początek. Później, niestety już bez pomocy ze strony przysadki, trzeba sobie na nowo organizować świat i układać życie z przybyszem z własnego brzucha. I jeżeli nie jestem świadoma tego, co się stało, czego chcę i jak się po-

strzegam w nowej sytuacji, będę podatna na zewnętrzne sugestie, na wciskanie mnie przez rodzinę i przez otoczenie we wzorce, schematy, w ten wyklety, niewygodny mundurek dobrej, poświęcającej się matki. I zostanę z dzieckiem w domu, chociaż wołałabym wrócić do pracy, i będę gotowała papki i obiady zamiast chodzić na zawodowe spotkania. I będę pielęgnowała swoją dobrze rozwijającą się frustrację. Przepyszny scenariusz.

M.L.: Opowiedz jeszcze o problemach, z którymi muszą się mierzyć kobiety.

Wiesz, moje opinie nie mogą być miarodajne, jestem aktywną zawodowo mamą z dużego miasta, a to tylko jeden z wielu rodzajów macierzyńskich kieratów. Rozumiem, że matki niepracujące poza domem mają inne problemy. Kobiety zatrudnione w Biedronce też mają inne problemy niż ja. Moje problemy mogą się wydawać niszowe, dotyczą trudności łączenia życia zawodowego z macierzyńskim, sprządzają się do pośpiechu, korków w mieście, braku czasu. Matki takie jak ja muszą mieć elastyczny czas pracy, bo przedszkola i szkoły się otwierają i zamykają o określonych godzinach i my się musimy do tych godzin dostosować, tego kawałka macierzyństwa nikt za nas nie obrobi. Nie możemy być do dyspozycji pracodawcy od ósmej do osiemnastej, nie ma takiej możliwości. Musimy mieć elastyczny czas pracy, ale przez to, myślę, jesteśmy też bardziej wydajne.

J.Z.: Poukładane.

Uporządkowane. Nie spędzamy czasu na plotkach z koleżanką, bo wiemy, że jeżeli nie wyjdziemy z pracy o określonej godzinie, to po prostu nie zdążymy dojechać, odebrać i tak dalej. Mogłabym tak długo [śmiej].

J.Z.: Ja też [śmiej].

Są oczywiście kobiety, które odpuszczają.

O tym też wspomina Cusk w rozmowie z Jucewicz. Wchodzą w macierzyństwo i odpuszczają. Siebie, swoje życie zawodowe. Zostają z pieluchami, z papkami i piaskownicą na sześć, osiem, dziesięć lat, potem chcą wrócić na rynek pracy, a to się nie bardzo udaje.

J.Z.: A z czego wynika takie ukrywanie się w domu i zostawianie przy dziecku?

Myślę, że jest masa powodów. Infrastruktura, która jest niewystarczająca. Brak miejsc w żłobku, w przedszkolu. Opiekunka, która kosztuje tyle, ile zarabia mama. Nadal przecież pokutuje pogląd, że wtedy mamie nie opłaca się wracać do pracy, tak jakby jedyną korzyścią z pracy była różnica między kwotą zarobków matki a kosztem zatrudnienia opiekunki. Tak jakby sam fakt realizowania siebie w innej relacji niż matka–dziecko nie miał dla kobiet znaczenia. A przecież tak nie jest, przecież potrzebujemy pracy również dlatego, że w końcu nie całkiem umieramy, stając się matkami, nadal żyje – mam nadzieję – ta część nas, która ma niemacierzyńskie plany i aspiracje.

J.Z.: Realizacja siebie – czy to jest mocno uświadomiona rzecz w Polsce?

Może to się wiąże z kulturowymi wzorcami matki Polki, która powinna się realizować jako matka, a nie jako człowiek.

J.Z.: Czy matki, które pracują zawodowo, są krytykowane za to, że nie poświęcają się dzieciom?

W moim środowisku na pewno nie. Ale mogę sobie wyobrazić, że są środowiska, w których są krytykowane.

M.L.: Cusk mówi chyba o powszechnej nienawiści do takich kobiet. O nienawiści, podkreślmy, odczuwanej przez kobiety, które poświęciły się macierzyństwu.

Ona się lokalizuje na samotnej wyspie. Otaczające mnie matki są aktywne zawodowo. Ja i matki, które znam, nie jesteśmy samotnymi wyspami.

J.Z.: A ja znam każdy rodzaj wzorca, i czasami czuję się osamotniona, mając takie a nie inne problemy.

M.L.: Ty nie masz problemu z mitem matki Polki? Osobiście? Nie.

J.Z.: A dziewczyny, które piszą komentarze do Twojego bloga, nie mają z tym problemu? Niektóre pewnie mają.

J.Z.: Więc może mamy szansę komuś pomóc? Przytłaczająca wydaje mi się liczba kobiet, które rozmawiają w określonych trybach kulturowych, zmagają się z tradycją, są wmanewrowane w macierzyństwo, ponieważ teściowa chciała mieć wnuki, a mąż też chętnie pokazałby dorodnego syna. Dla większości matek w macierzyństwie nie ma nic własnego.

No wiesz, zdaję sobie sprawę, że są kobiety, które realizują nie swój plan na życie, ale wynaturzony model perfekcyjnej rodziny z reklamy margaryny. Mogę o tym teoretyzować, nie znam tego z własnego doświadczenia, ale na pewno jest tak, że w tak zwanej społecznej świadomości funkcjonuje mit, jakieś mocno ugruntowane przekonanie co do tego, jaka powinna być kobieta i matka. Kobieta i matka mianowicie powinna się poświęcić – wydaje się, że to kluczowe słowa: poświęcenie się domowi i rodzinie – kobieta powinna doglądać ogniska domowego i dbać o przychówek, nie zapominając o trosce o pana i władzę. Powinna gotować pożywny obiad, prasować męzowskie koszule, sprzątać, zajmować się, ogarniać. To są niemożliwe do zrealizowania sekwencje powinności. Chyba też jest tak, że ten zły mit przechodzi z matki na córkę; to kobiety same robią sobie piekło, to one pielęgnują mit ciężkiego, ale koniecznego kobiecego losu. Czy to nie matki krytykują córki za obiad „dla męża” podgrzewany w mikrofalach? Za niewystarczająco posprzątaną mieszkanie? Więc dla świętego spokoju albo może z myślą, że dostosowanie się jest najlepszym rozwiązaniem, kolejne pokolenia kobiet wchodzi w to, znikają w powinnościach i oczekiwaniu, że będą takie, jak ich matki.

J.Z.: I to są zazwyczaj dziewczyny po studiach. To nie jest neutralny kraj dla młodych kobiet. Dziewczyny, które nie chcą mieć dzieci, właśnie przez rodziców bardzo często są pytane, kiedy będą je miały.

To nie jest neutralny kraj, to oczywiste. Ale ja naprawdę nie wiem, dlaczego tak jest, że inteligentna dziewczyna, która na studiach przeczytała parę książek, chodziła do kina i poszła nawet do teatru czasem, wpada w małżeństwo, wpada w macierzyństwo i staje się bezwolną marionetką. Ja po prostu tego nie rozumiem. Przypuszczam, że to ma jakiś związek z samoświadomością. Ona prawdopodobnie nie wie, kim jest, bo tylko wtedy, kiedy nie wiem, kim jestem, pozwalam sobą sterować. Jeżeli wiem, kim jestem, nikt nie jest w stanie mną kierować, narzucać mi wzorców zachowania, wmawiać: urodziłaś, więc teraz, kochana, zostaniesz z dzieckiem do ukończenia przez nie trzeciego roku życia.

J.Z.: Albo osiemnastego [śmiech]. Lub dwudziestego piątego, jak w książce Dla mnie to samo Agnieszki Drotkiewicz. I właśnie takie macierzyństwo powraca potem jak zemsta, którą córki dziedziczą z pokolenia na pokolenie.

Model radykalnej utraty siebie i najlepsze samousprawiedliwienie. A przecież to szalenie wygodne dla kobiety – jako matka zyskuje automatycznie status weteranki rzeczywistości, żyje z mitu jak z zasiłku, już nigdy o nic nie musi się starać. Może dlatego nikomu nie wolno tykać mitu?

Pod rygorem infamii i wykluczenia? Jak u Cusk? Może. Nasze porównania są pewnie trochę wyolbrzymione, ale nie sądzę, żebyśmy bardzo się mylili. Może nawet udało się nam tutaj doskrobać do twardych reguł kobiecego piekła? I tak je sobie po kolei obnażamy? To dziedzictwo powinności i wpisanego w kobiecy los cierpienia, poświęcenia, smutku i rozstępow? Podoba mi się wątek weteranki rzeczywistości, kobiety-rozgoryczenia, że „ja dla ciebie wszystko, a ty...”, logorea wyrzutów w stosunku do rosnących dzieci i do całego

świata w sumie też, że nie okazuje wdzięczności, że nie wynosi pod niebo. Gdyby tylko to nie było tak przeraźliwie smutne, bo przecież one, te modelowe matki z mitu naprawdę siebie tracą i to się dzieje w rzeczywistości, w naszych realiach, a nie w powieści.

M.L.: Według Ciebie te wszystkie problemy, o których piszą Cusk czy Sylwia Chutnik, dotyczą raczej kobiet niepewnych siebie? Niepewnych siebie, czyli niezających siebie. To drastyczny sąd.

M.L.: Z tego wynika, że samoświadomość jest świetnym lekiem na śmierć.

[śmiech] Dobrze! Kupuję to!

M.L.: Ależ to jest mocna pointa! Czuję, że wiele kobiet nie zgodzi się z nią.

Poznań, 7 czerwca 2011

Surowe scenariusze. O prozie Małgorzaty Łukowiak

Justyna Zimna

Małgorzata Łukowiak jest autorką znanego, wyśmienitego bloga zimno.blog.pl, za który otrzymała w 2009 roku aż dwie statuetki: dla Najlepszego Bloga 2009 oraz dla Najlepszego Bloga w kategorii Blogi Literackie. W tym numerze „Czasu Kultury”, w równym stopniu zaskoczeni co starzy czytelnicy Zimno, odkrywamy jej prozę, bulwersującą i pełną napięć, świetną i nieskazitelną. To rzadki przywilej – towarzyszyć debiutowi, który okazuje się wyjściem na światło dzienne tekstu pozbawionego najdrobniejszych skaz i wahań, znaleźć znieznacka dojrzałą i świetną pisarkę.

Łukowiak zna każdą ze sztuczek wielkiego realizmu, w wyposażeniu jej warsztatu pisarskiego mieszczą się wszystkie dostępne chwytły literackie, spokój dobrze opowiedanej historii, pułapki na emocje, transmisje z walk wewnętrznych i jeszcze jeden drobiazg, ten, któremu oficjalnie najmniej ufamy, a któremu tak strasznie chcemy pozwolić się uwieść – prawda tekstu.

Demaskacja nieoczywistości – tak można w dwóch słowach ująć tę narrację. Język jest +